NAUKA 3/2015 • 25-33

Michał Karoński*

Polska nauka czy nauka w Polsce?**

Wybrałem temat mojego artykułu, zadając w nieco prowokujący sposób pytanie: „Polska nauka czy nauka w Polsce?". Jako matematyk mam naturalną potrzebę, wręcz wewnętrzny obowiązek, zdefiniowania tych dwóch, zawartych w tytule pojęć. Nie będzie to ani zadanie łatwe, a być może nawet nieco niebezpieczne.

Czym jest więc dla mnie „polska nauka", jakimi cechami się charakteryzuje, z czego wyrosła i jaki jest jej zasięg oddziaływania? Niewątpliwie „polska nauka" ma pewne cechy uniwersalne. Przede wszystkim jest to nauka słaba. Ma przy tym wiele cech naszych własnych, lokalnych. Jest to nauka zaściankowa, traktująca Polskę jako uniwersum, publikująca miałkie prace w nadzwyczaj licznych czasopismach z cyklu „Zeszyty ...", wyrażająca kuriozalne obawy, że publikowanie prac naukowych tylko w języku polskim i unikanie recenzji zagranicznych skutecznie uchroni ją przed „podkradaniem" naszych „nowatorskich i przełomowych" pomysłów czy technologii. Jest to nauka nastawiona na generowanie licznych publikacji służących głównie uzyskiwaniu kolejnych stopni i tytułów naukowych. Publikacji w dodatku nic albo niewiele wnoszących do danej dziedziny wiedzy. Nauka, w której „punkty ministerialne" ustalają formalne progi, powyżej których ktoś zasługuje na doktorat, habilitację czy tytuł profesora. Nauka, w której miernikiem „autorytetu" uczonego jest wielkość jego gabinetu, a obrona rozprawy doktorskiej to „piętnaście minut wstydu, a doktorat na całe życie".

Takie postawy środowiska naukowego wywodzą się po części z minionego systemu względnej izolacji, ograniczeń cenzuralnych i ideologicznych, szczególnie uciążliwych w naukach społecznych i humanistycznych. W mniejszym stopniu dotyczy to nauk ścisłych, które z definicji funkcjonowały i funkcjonują w obiegu międzynarodowym. Od odzyskania pełnej niepodległości minęło jednak już ćwierć wieku. Dostatecznie dużo czasu, aby uwolnić się od starych nawyków i ograniczeń, przejąć i utrwalić wartości oraz reguły charakteryzujące wolnościowe modele uprawiania nauki.

Czy tak się stało? Czy zlikwidowaliśmy obszary naukowego zaścianka, dokonaliśmy racjonalnych reform sytemu nauki i szkolnictwa wyższego, czy wreszcie zdołaliśmy

* Prof. dr hab. Michał Karoński, przewodniczący Rady Narodowego Centrum Nauki; Zakład Matematyki Dyskretnej Wydziału Matematyki i Informatyki UAM; e-mail: karonski@amu.edu.pl

** Artykuł jest przeredagowaną wersją wystąpienia na seminarium Polskiej Akademii Umiejętności w dniu 7 kwietnia 2014 roku.

utrzymać prestiżową pozycję uczonych, profesorów w społeczeństwie? Odpowiedź na to pytanie nie jest ani oczywista, ani prosta. W pierwszej kolejności trzeba wymienić rolę czynników zewnętrznych. Po 1989 roku kolejne rządy, mówiąc żartobliwie, hołdowały zasadzie, że „nauka to dziedzina niskiej szkodliwości społecznej", a profesura „wyżywi się sama" na trwającym przez dwie dekady boomie edukacyjnym. Towarzyszyły temu szumne zapowiedzi realizacji strategii „lizbońskiej", windujące nakłady na badania do nierealnych wysokości. W rzeczywistości mieliśmy długie okresy utrzymywania tych nakładów na żenująco niskim, często nawet malejącym poziomie.

To wszystko prawda. Jednak znaczna część środowiska naukowego, w tym w szczególności nauk ekonomicznych czy społecznych, zaangażowana w dodatkową pracę na uczelniach niepublicznych, praktycznie zaniechała lub znacznie ograniczyła pracę naukową. Albo uprawiała naukę „po polsku": pisząc miałkie publikacje na łatwe, niewymagające większego wysiłku tematy. No i nikomu to w dodatku nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie: politycy byli zadowoleni, bo zdejmowali z rynku pracy rzesze młodych ludzi, kształcących się na niezliczonych niepublicznych tzw. uczelniach wyższych i mogli pochwalić się fantastycznie rosnącymi wskaźnikami scholaryzacji. Uczelniom nie przeszkadzało, że ich pracownicy dorabiają u „konkurencji", no bo „u nas niskie pensje". I tak błędne koło się zamykało. Dopiero nadciągający niż demograficzny powoli koryguje tę absurdalną i patologiczną polską specjalność, jaką jest wieloetatowość pracowników naukowych.

Po 1989 roku państwo skupiło się na osiągniętym imponującym wzroście rozmiarów kształcenia na poziomie wyższym, osiągniętym praktycznie bez istotnego zwiększenia nakładów. Niestety masowość nie została uzupełniona o konieczną w każdym systemie elitarność. Nie wykorzystano szansy na wybranie kilkunastu najlepszych uczelni wyższych o największym potencjale badawczym i przekształcenie ich w kuźnie polskich elit. Uczelni inaczej finansowanych, z wyższym środkami na badania, zwiększonymi wymaganiami w stosunku do poziomu naukowego lepiej opłacanej kadry.

Dodatkowo, wprowadzony powszechnie system boloński, „szatkujący" tok studiów i wprowadzający znaczny stopień „uzawodowienia" studiów pierwszego stopnia, wraz z przyjętą zasadą finansowania uczelni „od głowy" studenta, nie sprzyjają koncentracji uwagi czołowych uczelni wyższych na pracy z najlepszymi studentami, na kształtowaniu elit.

Czas na refleksję o bardziej ogólnym charakterze. Nietrudno zauważyć, że mimo przeprowadzenia przez kolejne rządy wielu reform, nowelizacji ustaw i zmian rozporządzeń, system nauki i szkolnictwa wyższego pozostał w swych zasadniczych zrębach niezmieniony od czasów realnego socjalizmu. Nie zmienił się typ kariery naukowej. W dalszym ciągu rozwijamy ją w całości w tej samej uczelni, w której studiowaliśmy. Jeżeli coś się w tym względzie zmieniło, to niestety na gorsze. Dokonane zmiany w systemie

awansu naukowego, mające na celu przyspieszenie karier młodych ludzi doprowadziły w większej mierze do obniżenia poziomu doktoratów i habilitacji niż do szybszego awansu ludzi wybitnie zdolnych.

Same uczelnie wyższe zmieniły się w jeszcze mniejszym stopniu. W dalszym ciągu utrzymuje się sztuczny, dokonany ze względów politycznych w początkach lat pięćdziesiątych XX wieku, podział uniwersytetów na mniejsze części. Mamy też sukcesy! Głównie w... nazewnictwie. Przyrosło nam ostatnimi laty wiele nowych uniwersytetów, tym razem „uniwersytetów przymiotnikowych". W wielu ośrodkach zamiast jednej silnej uczelni mamy kilka słabych i żadna siła nie jest w stanie skłonić ich do połączenia.

Polska Akademia Nauk w swym rozdrobnionym kształcie organizacyjnym, całkowicie odległym od struktury podobnych instytucji badawczych na Zachodzie, pozostaje niezmieniona od lat, a spora część jej pracowników zasila, bądź zasilała w nieodległej przeszłości, na drugim etacie kadrę uczelni publicznych i niepublicznych („w PAN-ie pensje są nędzne"). Jednostki badawczo-rozwojowe z minionego systemu dokonały cudownej przemiany w „instytuty badawcze".

Ustrój zarządczy uczelni wyższych zdryfował w stronę rozwiązań „demokratycznych", a właściwie pseudodemokratycznych, zamiast stosowanych powszechnie na świecie systemów „managerskich" i konkursowych.

Przyczynę tego stanu rzeczy upatruję w specyficznym pojmowaniu autonomii uczelni wyższej, zredukowanej do postulatu wyłaniania władz uczelni w „demokratycznym" trybie wyborczym, całkowicie niezależnym od jakiegokolwiek czynnika zewnętrznego. Niewątpliwie miała na to wpływ pamięć o walce środowiska o zredukowanie wpływu czynników politycznych na życie wewnętrzne uczelni, jaki miał miejsce w okresie PRL-u.

Dodatkowo, w obecnym systemie wyłaniania grup zarządczych uczelni wyższych kołacze się duch rewolty studenckiej 1968 roku, której jednym z postulatów był udział studentów w zarządzaniu uczelniami. W naszym systemie przyjęło to karykaturalną formę w postaci często decydującego głosu studentów przy wyborze władz uczelni. W dodatku ten wątpliwej wartości, psujący system, „przywilej" studentów jest traktowany przez polityków jak nienaruszalna świętość. Wreszcie, na niższych poziomach uczelni zamiast sprawnego zarzadzania mamy zarządzanie „wiecowe". Nadmiernie rozbudowane rady wydziałów i instytutów spędzają czas na wielogodzinnych dyskusjach nad sprawami, w których decyzje powinny być podejmowane na poziomie operacyjnym.

Z tej krótkiej analizy, obarczonej dużą dozą ironii, wynika, że politycy i współpracująca z nimi część środowiska dokonali wspólnie wiele wysiłków, żeby, dużo zmieniając nic nie zmienić. Mam nieodparte wrażenie, że dalsze trwanie tego systemu stanowi jedną z najbardziej istotnych barier rozwoju nauki w Polsce. Niestety zamiast prowadzić poważne dyskusje w samym środowisku naukowym na istotne tematy i tworzyć nacisk

na środowiska polityczne, marnujemy energię na tematy zastępcze i toczymy boje o sprawy mało istotne, wręcz marginalne. Jestem przekonany, że debata o stanie nauki w Polsce, w tym o stanie samego środowiska naukowego, jest niezbędna. Istnieje bowiem potrzeba gruntownego przemyślenia tego, w jakim kierunku zmierzamy.

Ważny głos w tej sprawie przedstawił w swym wystąpieniu w czasie inauguracji Kongresu Kultury Akademickiej w marcu 2014 roku prof. Piotr Sztompka. Mimo że z wieloma ocenami i tezami tego wystąpienia nie mogę się zgodzić, to jednak w pełni zgadzam się, że powinniśmy rozmawiać o wartościach, które determinują system kształcenia oraz prowadzenia badań naukowych i wokół których budujemy naszą wspólnotę akademicką. Profesor Sztompka stawia wiele ważnych pytań, na które powinniśmy jako profesorowie i obywatele szukać odpowiedzi.

Nie mam wątpliwości, że dotychczasowy model wyczerpał się i wymaga nie korekt ale zasadniczych zmian, swego rodzaju „przejścia fazowego". Po 25 latach nowej Polski mamy oto sytuację, w której kształcimy ponad 4,5 krotnie więcej studentów niż na początku lat 90. (ok. 400 tys. w 1990/91, a ok. 1,8 mln w roku akademickim 2011/2012), bez proporcjonalnego wzrostu kadry akademickiej. Sam ten fakt plus obowiązujący system finansowania nie mógł pozostać bez wpływu na charakter kształcenia na uczelniach wyższych. System boloński wepchnął nas na dość naturalne w tej sytuacji tory „uzawodowienia uczelni" i to, mówiąc kolokwialnie, „jak leci", bez różnicy, czy jest to uniwersytet czy nastawiona na produkcję absolwentów szkoła niepubliczna.

Powinniśmy więc przywrócić uniwersytetom, najpierw tym najlepszym, rzeczywisty uniwersytecki charakter. Mówiłem o tym podczas dyskusji o stanie humanistyki, jaka odbyła się w ramach Okrągłego Stołu, który odbył się w Warszawie w lutym 2014 roku pod auspicjami Pani Minister Kolarskiej-Bobińskiej. Powiedziałem wtedy, że uniwersytet nie powinien być, a w każdym razie nie w sensie podstawowym, miejscem uczenia konkretnego zawodu, bo taka wiedza ma to do siebie, że bardzo szybko ulega dewaluacji, traci aktualność. Na uniwersytecie powinniśmy mieć do czynienia, przynajmniej w początkowej fazie, z kształceniem ogólnym, studiowaniem raczej na uniwersytecie niż na konkretnym kierunku.

Jestem zdania, że uniwersytet powinien mieć charakter formacyjny, uczyć myślenia, otwartości na nowe idee i w ten właśnie sposób kształtować elity intelektualne i szeroko rozumiane kadry przywódcze gospodarki i życia społecznego. Musimy zbudować system elitarnych uczelni, uzupełniany rozsądnie skonstruowanym systemem kształcenia masowego. System ten musi być drożny, umożliwiający dostęp do najlepszych uczelni nie tylko tym, których na to stać, ale również tym zdolnym młodym ludziom, którym sytuacja materialna to uniemożliwia.

Poprzestanę w tym miejscu na sformułowaniu jedynie ogólnych postulatów, nie wchodząc w szczegóły złożonego procesu tworzenia i zasad funkcjonowania elitarnych

uczelni. Pragnę bowiem przejść do pokrewnego problemu, jakim jest konkurencyjność w nauce. Mam bowiem wrażenie, że dla sporej części środowiska naukowego konkurencyjność jest słowem wyklętym, kojarzącym się z najgorszym, co mogło nam się zdarzyć po przejściu od socjalizmu do kapitalizmu. Ja jednak będę konkurencyjności bronił, ale nie będę jej bronił, broń Boże, z pozycji neoliberalnych, a raczej z pozycji pragmatycznych, centrowych.

Oczywiście motywacja każdego uczonego, kierującego się ciekawością i chęcią odkrywania natury zjawisk i procesów, nie ma charakteru kompetytywnego. Nasze badania można określić jako *curiosity driven research*. Jednak publikując rezultaty badań, a mam tu na myśli w większym stopniu *science* niż *humanities*, stajemy do konkurencji, budujemy przez nasze wyniki swoją „pozycje rynkową". Niestety całe obszary polskiej nauki ograniczają swój rynek do krajowego podwórka. Czy nie jest absurdem to, że tak zwana lista B czasopism naukowych używana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego do kategoryzacji jednostek liczy około 1800 pozycji, głównie krajowych czasopism publikowanych w języku polskim. Nie mam zamiaru pastwić się nad listą B, wymieniając co bardziej smakowite tytuły tych czasopism „naukowych". Nie jestem radykałem, więc ograniczę się do stwierdzenia, że dla dobra nauki w Polsce lista ta powinna być bądź zlikwidowana, bądź zredukowana do kilkudziesięciu pozycji o charakterze ogólnokrajowym, i to głównie w tych dziedzinach humanistycznych, w których język polski powinien i musi być kultywowany. Te często bardzo lokalne i wąsko środowiskowe czasopisma z listy B to relikt minionej epoki. Czas dać wyraźny sygnał, że czasy publikowania byle czego i byle gdzie minęły.

Kolejne pole działania mechanizmów konkurencyjności to procedury obsadzania stanowisk w nauce i szkolnictwie wyższym. W Polsce takie mechanizmy praktycznie nie działają. Oczywiście na papierze konkursów jest aż nadto. Prawie każdy awans poprzedza „otwarty" konkurs, do którego zgłasza się zwykle jeden kandydat – ten, dla którego taki konkurs ogłoszono. Zatrudnienie na etacie adiunkta, najważniejsza decyzja, jaką podejmujemy z punktu widzenia przyszłości danej jednostki naukowej, następuje w wyniku selekcji kandydatów ze zbioru naszych własnych doktorantów. Niestety ten proces, zakładając, że będzie przeprowadzany w uczciwy sposób, i tak jest obciążony, a jego wynik często stanowi emanację złożonych wewnętrznych zależności i wpływów.

Wielokrotnie wskazywany „wsobny" charakter rozwoju kadr naukowych w Polsce ma oczywiście nie tylko wady, chociaż one w mojej opinii przeważają, ale ma również jedną ważną zaletę. W długim okresie sprzyja bowiem budowaniu mocnych szkół naukowych. Niestety nie zapewnia promieniowania kadrowego tych szkól na inne ośrodki, a z czasem prowadzi do ich uwiądu.

Myślę, że nadszedł czas na zmianę tej sytuacji i wprowadzenie mechanizmów wzorowanych na systemach zachodnich (etatyzacja stanowisk profesorskich plus mecha-

nizmy wewnątrzuczelnianej weryfikacji typu amerykańskie *tenure*). Moim zdaniem takiej zmianie sprzyjają dwa czynniki.

Po pierwsze, nadchodzi fala odejść na emeryturę wielu profesorów rozpoczynających karierę akademicką w okresie „wczesnego Gierka", na początku lat siedemdziesiątych. W tym krótkim okresie nastąpił gwałtowny wzrost zatrudnienia na uczelniach wyższych, a sama kariera naukowa stała się dla uzdolnionych absolwentów relatywnie bardziej atrakcyjna niż inne możliwości na „rynku" pracy.

Drugi czynnik ma charakter demograficzny. W najbliższych latach będzie się gwałtownie kurczyła grupa potencjalnych kandydatów na studia wyższe. Ten proces już się rozpoczął i niewątpliwie będzie miał wpływ zarówno na strukturę szkolnictwa wyższego, jak i na sytuację wewnętrzną uczelni. Czekają nas trudne lata, a jak wiemy z doświadczenia, każdy kryzys sprzyja podejmowaniu reform.

Pragnę mocno podkreślić, że nie chodzi tu reformy polegające na prostej redukcji kadry naukowej, a o ewolucyjne przejście do systemu rzeczywistych konkursów, etatyzacji stanowisk profesorskich czy zasady niezatrudniania bezpośrednio po doktoracie własnych absolwentów. Ten stosowany w różnych wariantach system ma tę zaletę, że został przetestowany i sprawdził się w innych krajach. Jego przyjęcie miałoby i inne zalety. Przede wszystkim zostałyby upodmiotowione w tym względzie same uczelnie, a odwieczny problem „uniwersalnej habilitacji" zniknąłby samoistnie. Wreszcie, tak jak na całym świecie, bycie dobrze opłacanym profesorem znakomitego, elitarnego kadrowo uniwersytetu miałoby większy prestiż niż obecny „zunifikowany" tytuł profesora. Wiem, że propozycja rezygnacji z wyjazdu do Pałacu Prezydenckiego nie przysporzy mi zwolenników. Na swoją obronę mogę jedynie przywołać ostatnie badania stwierdzające malejący prestiż naszej grupy zawodowej. No cóż, z pierwszego miejsca zepchnęli nas strażacy!

Trzeci i ostatni aspekt konkurencyjności w nauce, któremu pragnę poświęcić uwagę, dotyczy sposobów jej finansowania. Jestem w tym względzie zwolennikiem rozsądnego kompromisu pomiędzy finansowaniem bazowym, statutowym, pozwalającym na utrzymanie podstawowych funkcji badawczych jednostek i ich infrastruktury, a finansowaniem grantowym. Mechanizm finansowania w tym trybie powinien zapewniać z jednej strony stabilizację jednostek, a z drugiej „zmuszać" je do stałego doskonalenia się. Pytanie, czy powinien być on oparty na obecnym systemie kategoryzacji jednostek, jest pytaniem otwartym. Optował bym tu raczej za systemem premiującym wybitne osiągniecia, a nie mechaniczne sumowanie punktów za publikacje.

Znacznie bardziej konkurencyjny powinien być system finansowania badań poszczególnych uczonych, czyli system grantowy oparty na systemie oceny *peer review*. Jednym z ważnych elementów tego systemu finansowania nauki jest tak zwany narzut, czyli koszty pośrednie (*overhead*). Ten narzut nie powinien jedynie refundować

kosztów badań, ale również premiować uczelnie i instytuty naukowe za posiadania w swym gronie wybitnych badaczy, skutecznie konkurujących o środki grantowe. W Polsce ten kanał finansowania jednostek naukowych, w istotny sposób premiujący jednostki zatrudniające bardzo dobrych uczonych, powoli zaczyna odgrywać pozytywną rolę.

I druga refleksja. Być może banalna. Stopień akceptacji tej bardzo konkurencyjnej formy finansowania badań, jakimi są granty, różni się w opiniach młodego i starszego pokoleniem badaczy. Szczególnie, ale nie tylko, jest to widoczne w środowisku humanistycznym. Młode pokolenie jest w natarciu, natomiast starsza generacja w znacznym stopniu nie akceptuje systemu grantowego i go kontestuje. Zupełnie mnie to nie gorszy. Jest to, jak sądzę, nie tyle wyraz konserwatywnych postaw, a bardziej jest podyktowane charakterem prowadzonych badań. Tu w znacznym stopniu liczy się wysiłek indywidualny uczonego, a rzadziej praca ma charakter zespołowy. O wiele większą rolę odgrywa erudycja, kumulowana latami wiedza czy pogłębiona refleksja niż realizowany w krótkim przedziale czasowym „projekt badawczy".

Kończąc ten potraktowany przeze mnie dość powierzchownie wątek, pragnę stwierdzić, że nie mam jednak wątpliwości, że w przyszłości powinniśmy iść w kierunku zwiększania finansowania grantowego, premiując materialnie zarówno samych badaczy, jak i zatrudniające ich uczelnie czy instytuty.

Myślę, że w swoich rozważaniach mocno odbiegłem od odpowiedzi na zadane w tytule pytanie: „polska nauka czy nauka w Polsce?" Wyznam szczerze, że był to raczej pretekst do przeprowadzenia rozważań o ogólnej naturze. Słowo się jednak rzekło, czas więc na „naukę w Polsce". Sądzę, że po wcześniejszych dywagacjach o „polskiej nauce" nie muszę objaśniać, co przez ten termin rozumiem. Pozwolę sobie więc na początek na ryzykowne i z pozoru sprzeczne z poprzednimi tezami stwierdzenie, że mimo niskiego finansowania badań naukowych przez państwo, nauka w Polsce ma w wielu dziedzinach znaczące osiągnięcia. Oczywiście, nie we wszystkich obszarach wiedzy i nie we wszystkich ośrodkach. Niewątpliwe najmocniejszą pozycję mają nauki ścisłe: fizyka, astronomia, chemia i matematyka, zaliczane w różnych rankingach do drugiej dziesiątki na świecie. Można więc żartobliwie powiedzieć, że „stopa zwrotu" liczona jako stosunek wysokości nakładów finansowych do efektów badawczych plasuje Polskę w ścisłej czołówce światowej!

Co ważne, powoli ugruntowuje się w środowisku naukowym przekonanie, że ważna jest jakość prowadzonych badań, rozumiana na tym etapie jako poziom czasopism, w których publikowane są wyniki. Może nie jest to najlepszy wskaźnik, ale wskazuje on drogę wychodzenia z naukowego zaścianka. Mamy bardzo interesujące, otwarte na świat młode pokolenie badaczy, pokolenie bez kompleksów o bezprecedensowym dostępie do środków na badania. Ostatnie dziesięciolecie, dzięki funduszom unijnym, przyniosło ogromny postęp w infrastrukturze badawczej.

To wszystko powinno skłaniać nas do optymizmu co do przyszłości nauki w Polsce. Powinno pod warunkiem, że potrafimy w mądry sposób te szanse wykorzystać. Problem jednak w tym, że po pierwsze „nie mamy armat". Konkurowanie o środki europejskie już w poprzedniej perspektywie finansowej nie było dla Polski zbyt udane, między innymi dla tego, że brak nam silnych zespołów badawczych oraz, co ważniejsze, brak sprawnie działającego systemu wsparcia dla uczonych w ich staraniach o te środki. Uczelnie nie potrafiły zlikwidować biurokratycznych barier, na jakie napotyka uczony realizujący projekty europejskie. Nie ukrywajmy też, że grono uczonych mających szansę uzyskać grant z ERC jest nad wyraz szczupłe i pozostawione bez wsparcia ze strony profesjonalnego zaplecza pomagającego w przygotowywaniu aplikacji. To musi się zmienić, ale w tym wypadku nie wystarczą jedynie sporadyczne akcje, musi zmienić się system.

Odrębna sprawa to fala środków, jakie spłyną na nas w latach 2014-2020 ramach funduszy spójności: POIR-u, POWER-u i funduszy na badania z regionalnych programów operacyjnych. Łącznie będzie to około 40 mld zł! Rzecz jednak w tym, że środki te będą kierowane na przedsięwzięcia aplikacyjne, na współpracę przemysłu z nauką, i będą dystrybuowane w znacznej części bezpośrednio przez przedsiębiorstwa do partnerów z sektora nauki. Tylko niewielka część ma szansę zasilić badania podstawowe, a i tak taka możliwość stoi pod ogromnym znakiem zapytania. Mam jednak poważne obawy, czy struktura polskiej gospodarki jest w stanie umożliwić sensowną absorbcję tych środków, nie tylko w celu obniżenia kosztów produkcji, ale przede wszystkim w celu stymulowania postępu technologicznego i rozwoju badań naukowych.

Dlatego należy dokonać ogromnego wysiłku, aby przynajmniej część tych środków wykorzystać na intensyfikację kształcenia kadr naukowych. Powinniśmy tu skorzystać z doświadczeń takich krajów, jak Brazylia czy Korea Południowa, łożących ogromne środki na wysyłanie młodych zdolnych ludzi na studia doktoranckie do czołowych ośrodków zagranicznych, w systemie finansowania z wbudowaną gwarancją ich powrotu na określony czas po studiach do kraju, zarówno do nauki, jak i gospodarki.

Powinniśmy również dokonać istotnego kroku w umiędzynarodowieniu zespołów badawczych poprzez otwarcie się uczelni i instytutów badawczych na uczonych zagranicznych oraz poprzez rozwijanie międzynarodowych studiów doktoranckich. Jeżeli tego nie zrobimy, to – w pesymistycznym scenariuszu – po 2020 roku skończą się pieniądze europejskie, a my pozostaniemy z luką kadrową i na garnuszku budżetu państwa.

Nie możemy pozwolić, aby taki scenariusz się zrealizował. Obawiam się jednak, że trudno oczekiwać w tym względzie inicjatywy ze strony środowisk politycznych. Odnoszę wrażenie, że powoli utwierdza się w tych środowiskach stan pewnego rozdrażnienia tym, że mimo zwiększania środków na badania (to prawda... środki te wzrosły w ostatnich latach!) oraz przeprowadzonych reform efekty są marne, Nobla nikt nie dostał a w ERC wleczemy się w ogonie. Dodatkowo środowisko sprawia kłopoty, wzniecając

tumult, powołując komitety protestacyjne i kryzysowe. Politycy chcą mieć spokój i efekty JUŻ, a nie za kilkanaście lat, gdy ich kadencje dawno się skończą. Warto więc im zadedykować następujący fragment wystąpienia prof. Sztompki podczas wspomnianego Kongresu Kultury Akademickiej[1]

[...] Po ósme – ciągle oczekuje się od nas natychmiastowych zastosowań praktycznych, zapominając o tym, że nie ma nic bardziej praktycznego niż prawda, teoretyczne wyjaśnienie. Przełomowe odkrycia to takie, których praktyczne implikacje ujawniają się często dopiero po latach, czy dekadach. A prawdziwie twórczy uczeni muszą być trzymani – jak powiadał Florian Znaniecki – „na bardzo długiej smyczy".

Nikt więc nas nie zwolni od podjęcia poważnej dyskusji o nas samych i o drogach prowadzących do rzeczywistych przemian w nauce i szkolnictwie wyższym. Nie chodzi mi tu o nawoływanie do kolejnych płytkich, skupionych na detalach reform, ale na spokojnym przygotowaniu takich zmian systemowych, które przetrwają całe dekady, a nie jedynie kolejny rząd.

Myślę, że nasze środowisko stać na głęboką autorefleksję, rzetelną analizę sytuacji i wyciągnięcie sensownych wniosków. Nie powinniśmy na nowo odkrywać Ameryki, a raczej wykorzystać najlepsze wzorce wzięte z innych systemów kształcenia i prowadzenia badań. Ocenić ich zalety i wady i wybrać najlepsze rozwiązania. Taka dyskusja, nawet jeżeli nie skończy się konsensusem czy szybkimi efektami, stworzy podglebie do przeprowadzenia w przyszłości trwałych i tak potrzebnych i polskiej nauce, i nauce w Polsce, zmian!

„Polish science" or „science in Poland"?

In the article we discuss various aspects of academic life in Poland, the current situation at Polish scientific institutions and a perspective on their reforms. We make several suggestions for improving the state of scientific research in Poland.

Key words: science, universities, Bologna system, academic career, habilitation, professorship, grants, organization of science and universities, research financing

[1] PAUZA Akademicka, Nr. 247, Kraków, 27 marca 2014 r.